Jaki jest stan katolickich uczuć i przekonań w naszym narodzie? Jaki stopień ich mocy i wytrwałości? Pytanie to rozważa i zgłębia, odpowiedzi na nie szuka każdy myślący Polak-katolik, dbały o wartość swego narodu, troskliwy o jego przyszłość. Jacy jesteśmy pod tym względem, to wie doskonale tylko jeden, ten, który widzi skrytości serc, Bóg. Człowiek z zewnętrznych znaków, z uczynków sądzi, a i te zna nie wszystkie, zna tylko z grubsza i po wierzchu; wiele może nie dojrzeć, nie widzieć, mylnie ocenić i sądzić. Gdyby zaś chciał to tylko naznaczyć, co każdemu wiadome i widoczne, miałby o czym dzieło napisać, tyle jest rozlicznych zdarzeń, praw, stosunków, które dzisiejszy stan Kościoła u nas wyrobiły, tyle różnych wpływów, które kształciły nasze pojęcia i przekonania, tyle w tych przekonaniach różnic i odcieni...

Jaki jest stan katolickich uczuć i przekonań w naszym narodzie? Jaki stopień ich mocy i wytrwałości? Pytanie to rozważa i zgłębia, odpowiedzi na nie szuka każdy myślący Polak-katolik, dbały o wartość swego narodu, troskliwy o jego przyszłość. Jacy jesteśmy pod tym względem, to wie doskonale tylko jeden, ten, który widzi skrytości serc, Bóg. Człowiek z zewnętrznych znaków, z uczynków sądzi, a i te zna nie wszystkie, zna tylko z grubsza i po wierzchu; wiele może nie dojrzeć, nie widzieć, mylnie ocenić i sądzić. Gdyby zaś chciał to tylko naznaczyć, co każdemu wiadome i widoczne, miałby o czym dzieło napisać, tyle jest rozlicznych zdarzeń, praw, stosunków, które dzisiejszy stan Kościoła u nas wyrobiły, tyle różnych wpływów, które kształciły nasze pojęcia i przekonania, tyle w tych przekonaniach różnic

i odcieni. Kto by zaś chciał dochodzić i mierzyć, czy jesteśmy pod względem religijnym w postępie albo też w upadku, ten musiałby sięgnąć głęboko w przeszłość i zbadać stan religijny narodu w kilku minionych jego pokoleniach, żeby mieć podstawę do porównania i wniosku.

Na takie przedsięwzięcie tu nie czas i nie miejsce; pobieżny rzut oka, przybliżony obrachunek to wszystko, co zrobić możemy. Ale to zrobić spróbujmy, kiedy się pierwszy raz zbieramy na to, by o naszych religijnych sprawach radzić. Wszystkie są ważne i do wiedzenia potrzebne, ale wszystkie o tyle dobrze iść i skutecznie rozwijać się mogą, o ile w nas samych jest wiara stateczna, miłość Kościoła rzetelna i wola stała, hartowna, żeby jednej i drugiej wiernie i bądź co bądź dochować.

A więc zanim się tym razem pożegnamy i rozejdziemy, zapytajmy sami siebie i zastanówmy się przez chwilę, jakimi my jesteśmy katolikami?

Bóg jeden wie i sądzić ma prawo, kto lepszy, a kto gorszy, ale po ludzku sądząc, możemy chyba z czystym sumieniem powiedzieć, żeśmy między katolikami nie ostatni, że co kiedyś Mieczysław przy chrzcie swoim za swój naród przyrzekł, tośmy dotąd, dzięki Bogu, dotrzymali. Boga i Kościoła swego nie odstąpiliśmy, choć był czas, za Lutra, że nas do tego odstępstwa mnogie i silne pokusy ciągnęły. Od wschodniego muzułmaństwa broniliśmy siebie i drugich i nie daliśmy mu wedrzeć się w środek europejskiego stałego lądu; pogańską Litwę ochrzciliśmy i utwierdzili w wierze; wschodnie, przeciw Kościołowi zbuntowane chrześcijaństwo zjednoczyliśmy z Kościołem, a bez gwałtu, bez prześladowań, bez krwi rozlewu, jak daleko granice naszej Rzeczypospolitej sięgały. Odrzekliśmy się na chrzcie czarta i wszystkich spraw jego, i wszystkiej pychy jego i dotrzymaliśmy, bośmy z pychy ni zazdrości gwałtem ni zdradą cudzego dobra nie brali ani go nie pożądali. Później, gdy w ślad za buntem przeciw Kościołowi, reformacją, poszedł bunt przeciw Bogu, niedowiarstwo i bezbożność XVIII wieku, zaraziły one i nas, ale do szpiku kości, do krwi nam przecie nie doszły. W tym ostatnim już, w tym kończącym się XIX wieku, jedni z nas wytrzymywali prześladowania otwarte i krwawe, drudzy tyle zasługi nie mieli, ale wierni zostali, jeszcze inni podnieśli i wzmocnili katolicką świadomość i katolickie życie narodu – świeckich utwierdzili w przekonaniach i miłości Kościoła, powołania duchowne jednoczyli w regułach i zgromadzeniach zakonnych, pierwszych, jakie nasze społeczeństwo z siebie wydało. A wczoraj jeszcze i to z ust, które przed Bogiem samym świadczyć mają prawo, z ust Pasterza diecezji, słyszeliśmy chlubne dla siebie świadectwo, że obojętności u nas mniej, katolickiego ducha więcej niż dawniej. Świecki człowiek uważa to samo. Gdyby takie zebranie katolickie było zapowiedziane przed laty trzydziestu, nawet dwudziestu? Czy wielu nie byłoby od niego stroniło tylko dlatego, że się katolickim nazywa? Nie przez niewiarę i niechęć nawet – przez głupi, fałszywy wstyd raczej.

To wszystko świadczy za nami dobrze i wskazuje, że możemy o swojej prawowierności, gruntowności i stateczności swoich katolickich uczuć i zasad nie wątpić, owszem, liczyć na nią z niejaką pewnością siebie, a nawet chlubą. Przecież pewność ta byłaby za śmiała. „Kto mniema, że stoi, niech patrzy, żeby nie upadł”, a nas do religijnego upadku wieść i pchać może pokus i niebezpieczeństw tyle, że mogłyby, nie daj Boże, odnieść nad nami zwycięstwo, gdybyśmy ich ciągle, zawsze, czujnie, czynnie, odważnie nie odpierali.

Jakież one są? Trzy wieki temu wielki Skarga, kiedy przewidywał smutną przyszłość

Rzeczypospolitej, zaczynał swoje sejmowe kazania od słów: „Namienię cokolwiek tych niebezpieczeństw naszych, którycheście wy lepiej niżeli ja świadomi”. Nie na to te słowa przytaczam, żeby się zuchwale robić podobnym temu, któremu mało kto z Polaków godzien rzemyk u trzewika rozwiązać, ale dlatego przytaczam, że na tym katolików polskich zebraniu to wielkie imię przypomnieć, to słowo odezwać się echem dalekim, ta święta postać przytomną nam się stać powinna. A prócz tego wszystko się od tego czasu około nas zmieniło, ale w nas niejedno zostało, jak było, i między niebezpieczeństwami jakie on wskazywał znajdą się i takie, które nam dziś w naszym religijnym i w naszym społecznym stanie grożą.

Dwojakie są: jedne, co z zewnątrz w nas walą, drugie wewnątrz, z naszego własnego serca i charakteru się rodzą i zwątlenie, rozprzężenie katolickiego uczucia i ducha za sobą prowadzą.

Z tych zewnętrznych, z tych, z których „wyleczyć się nie możemy, byleśmy chcieli”, pierwsze, największe, najstraszliwsze jest to, którego Skarga nie widział, które przewidywał tylko.

Będziecie jako wdowa osierociała, będziecie na pośmiechu i urąganiu nieprzyjaciołom swoim [...], będziecie bez ojczyzny i królestwa swego [...] i włożą jarzmo żelazne na szyje wasze.

A do tej groźby dodaje Orzechowski drugą, niemniej sprawdzoną: „będziecie mieć króla w duchownych rzeczach sędziego”.

A kiedy się o stanie i niebezpieczeństwach Kościoła mówi, to pierwsze ciśnie się na usta, pierwsze z głębi serca wyrywa się to, co najgorsze, najstraszniejsze, co ziemię zalało krwią, a wiarę z korzeniem chce z niej wyrwać, co Kościół chytrze do rozkładu chce doprowadzić – to, które wszyscy znamy, które nosimy w duszy jako troskę największą, na sercu jako kamień najcięższy, a o którym opowiadać tu nie możemy.

Nie opowiadać? Jak to? O tym, co przed Bogiem i w Kościele zasługa, przed światem i ludzkim prawem gwałt i ucisk, o tym, o prześladowaniu Kościoła nie mówić, i gdzie jeszcze, na katolickim w Polsce wiecu? A wszak jeżeli milczeć będziemy, to jedni powiedzieć, drudzy pomyśleć i uwierzyć gotowi, że nie ma gwałtu, nie ma prześladowania, że Kościół swobodny, biskup wolny, nauka wiary i nabożeństwo kwitnie pięknie pod pogodnym niebem, że nieprawdą jest skrępowanie i niewola Kościoła, nieprawdą wygnania za wiarę, nieprawdą samo męczeństwo i krew.

I my mamy tego nie opowiadać?

Tak. Bo każda skarga, podniesiona tu, mściłaby się na nas tam gorszą niewolą Kościoła. Milczmy więc. Mówieniem samym sobie nie pomożemy ani ludzie na nasze mówienie nie pomogą. A Bóg naszego mówienia nie potrzebuje: widzi On i bez tego, co się dzieje, widzi i liczy. Nie mówmy o tym i nie obawiajmy się, że tym milczeniem sprzeniewierzamy się Bogu, prawdzie, własnemu obowiązkowi i czci, bo ten obowiązek właśnie milczeć nam każe. Milczymy więc i Boga prosimy, by czas gniewu swojego skrócił, a siłę wytrwałości, siłę wiary, siłę roztropności, siłę wytrzymania dał.

Inne niebezpieczeństwa, które nam grożą z zewnątrz, przynosi sam czas i jego mniej lub więcej

silne prądy i rozpowszechnione błędy. Tymi są: nienawiść wiary i Kościoła pod pozorem wolności, przeczenie chrześcijaństwu pod pozorem nauki, wreszcie socjalizm pod pozorem miłości ludu.

Dwa pierwsze, za przykładem Francji, Niemiec, Włoch, działają u nas głównie na ludzi wykształconych, niekiedy nawet na istotnie uczonych.

Z protestantyzmu poczęta, przez sceptycyzm XVIII wieku utwierdzona i rozszerzona nieprawda, jakoby katolicyzm nie dopuszczał ani wolności myślenia, ani wolności wyznań, ani wolności obywatelskiej, opanowała zagranicą większość, u nas wiele umysłów nieraz świetnych, ale nie dość mocnych, iżby oczywiste nieprawdy poznać, lub nie dość szczerych, iżby je przyznać chciały. Na próżno historia przeczy swymi niezwyciężonymi argumentami, uprzedzenie o tyle historii wierzy, o ile ona mu schlebia. Na próżno literatura katolicka zbija i dowodzi, tej się nie wierzy z góry, jako podejrzanej, i nie raczy się do niej nawet zaglądać, uważa się ją za niebyłą. Pokolenia całe chowały się u nas dawniej w bezbożnych wyobrażeniach francuskich, później na książkach (tu w Galicji) niemieckich, z protestanckiego stanowiska pisanych. Stąd poszło, że na gruncie uczuć katolickich, nieraz szczerych, ułożyła się u nas warstwa pojęć i przekonań przeciwnych tym uczuciom, przeciwnych Kościołowi i wierze. Z tych książek, z tych nauk, z tych literatur osiadło w wielu z nas stałe i ślepe niedowierzanie Kościołowi. Cokolwiek robił, w jakimkolwiek czasie, on podejrzany był zawsze, on w skrytości czyhał na wolność, on zawsze, gdyby mógł, paliłby heretyków, a nad społeczeństwem świeckim chciałby panować. To jest uczucie stałe, zakorzenione większości tych ludzi, którzy się nazywają liberalnymi. Że nie mają racji, że gdyby chcieli rzeczy brać głębiej, sprawiedliwiej, musieliby sami przekonać się o marności i bezzasadności swego mniemania, że zwłaszcza od Leona XIII, od roku 1885, od encykliki *Immortale Dei*, mają wszelką łatwość przekonania się, a żadnej wymówki, jeżeli w uprzedzeniu swoim trwają, to nic nie znaczy i nie pomaga. Zastarzałe złe nie ustępuje łatwo ani szybko. Widzimy też to zjawisko dziwne, że ludzie, którzy w uczuciu i sumieniu swoim mają się za katolików, szczerze sympatią swoją otaczają, a czasem uczynkiem popierają to, co zmierza prosto do rozprzężenia i obalenia Kościoła. Uważajmy na przykład, jak w naszych pismach tak zwanych liberalnych nie znajduje się nigdy ani jedno słowo nagany – o oburzeniu już nie mówimy – dla praw, które we Francji lub we Włoszech wprowadzają wprost odchrześcijanienie społeczeństwa, że dążności antychrześcijańskie, a dopieroż antykatolickie, objawiające się w austriackiej prasie lub Izbie Poselskiej, nigdy w takich pismach nie są przedstawione polskiemu czytelnikowi jako złe. Kiedy chodziło o zniesienie konkordatu z Rzymem, niektórzy posłowie polscy głosowali za nim z zapałem, z przekonaniem, że robią coś mądrego i dobrego, kiedy dziś zjawia się kwestia katolickiego wychowania młodzieży, czy obstajemy za nią tak, jakby nas do tego obowiązywała wiara, sumienie, rozumny wzgląd na przyszłość społeczeństwa i wierność naszej narodowej nie już tradycji, ale istności i sprawie? Kiedy katolicy w Radzie Państwa chcą powiedzieć, że wychowanie powinno być religijne i moralne, a ich przeciwnicy wyrzucają to słówko „religijne”, czy my tego słowa bronimy dość dzielnie, a na tych przeciwników czy powstajemy w pismach naszych?

To mylne, fałszywe i tak już przestarzałe, że aż śmieszne pojęcie wolności jako niby niezgodnej z religią, a przede wszystkim z religią katolicką, grasuje u nas i łatwowiernych ma wielu. I nie w Galicji tylko – w Warszawie, w Wielkopolsce nie jest pod tym względem lepiej.

Na takie usposobienie, na tak przygotowany grunt padły dopiero wpływy naukowe. To tylko prawda, co albo zmysłami, albo rachunkiem, albo dokumentem czarne na białym da się stwierdzić. A zatem tylko to, co naturalne i ludzkie, należy do historii i prawdziwe być może, zaś to, co nadnaturalne, cudowne, należy do legendy, do poezji, nie do historii i do prawdy. Zatem Bóstwo Jezusa Chrystusa, Jego wcielenie, Jego zmartwychwstanie to mitologia taka sama jak indyjska, egipska lub grecka, a Ewangelie – lingwistyka przychodziła tu w pomoc – są podrobione i sfałszowane.

A kiedy jeden wpływ godził tak w samą podstawę chrześcijaństwa, drugi, filozoficzny, przeczył duszy człowieka, jego istocie i wartości moralnej. Nauka to tylko znać i stwierdzić może, co może widzieć. Duszy nie widział nigdy nikt, a to widzi każdy, że fizyczna natura człowieka jest do natury zwierząt podobna, że wielkość i ukształtowanie mózgu i pewien w nim stosunek składowych pierwiastków pociąga za sobą różnicę w zmyślności i uzdolnieniu zwierząt. Z tego wniosek, że człowiek duszy nieśmiertelnej nie ma, tylko dech jakiś i cielesne życie, jak zwierzę, i jak zwierzę z życia swego rachunku nie zdaje. Jego popędy i postępki są tylko koniecznym, od niego niezależnym skutkiem jego organizacji fizycznej. On woli nie ma, robi to, co przy swojej organizacji, przy składzie swego mózgu, robić musi. Z tego znowu wynika, że za to, co robi, odpowiedzialny być nie może, nie ma ani winy, ani zasługi. Dla swego własnego spokoju i przyjemności powinien drugiemu przykrości nie robić, ale ostatecznie cokolwiek robi, nie robi ani źle, ani dobrze. Złego ani dobrego naprawdę nie ma i nie ma innego prawa oprócz praw fizycznych.

Taka filozofia ze swoimi pozorami ścisłej rzeczywistości, pewności dowiedzionej, mądrości, która to tylko ma za prawdę, co się dotykalnie i naocznie da dowieść, taka filozofia imponowała wielu, tym łatwiej, że osłaniała się wielkimi istotnie odkryciami na polu nauk przyrodniczych. Opanowała też od lat mniej więcej trzydziestu wiele umysłów młodych, nawet cokolwiek niewieścich. Pomagała do tego i ta nieodpowiedzialność człowieka, to usprawiedliwienie dane z góry jego popędom i jego uczynkom. Że taka nauka obala nie już religię, ale wszelkie związki moralne, wszelkie prawo, wszelkie podstawy społecznego bytu i cywilizacji, to zbyt jasne, iżby potrzebowało dowodzenia.

Socjalizm jest skrzywieniem i nadużyciem uczuć dobrych, jest ich płodem, ale płodem potwornym, wyrodkiem. Powstał ze współczucia dla ubóstwa, z litości nad nędzą, ale skwasił się w zazdrość i wyrodził się w żądzę. W swoich krańcowych konsekwencjach staje się on rosyjskim nihilizmem, żądzą zaprzeczenia i zwalenia wszystkiego, co jest, albo zachodnim komunizmem, utopią niemożliwej równości majątków. W swoich stopniach pośrednich, więcej umiarkowanych, nie uwzględnia on zbyt często istotnych warunków i wymagań pewnej pracy, a w następstwie swoim poddaje własność, co więcej, prawo rodziców do wychowania dzieci pod władzę niby społeczeństwa, którego podstawy tym samym obala. Czym on jest dla religii, dla rodziny, dla społeczeństwa to mówiono tu obszernie wczoraj (Dr Jordan 5 lipca na pełnym posiedzeniu wiecu). Jak go rozumie Kościół i jak wskutek tego katolik winien rozróżniać prawa i potrzebę uboższych od teorii wiodących do anarchii i tyranii to wyłożone jest dostatecznie i każdemu jasne od czasu encykliki *Rerum novarum*, której zasady i znaczenie objaśnione były przed chwilą (*Wykład* ks. prałata Gnatowskiego).

Powtarzać byłoby zbyteczne. Dodać tylko potrzeba, że, jak wiemy, złe to szerzy się i u nas, z pewnym jednak miejscowym czy krajowym odcieniem. Socjalizm zagraniczny wyznaje się otwarcie i z pewną chlubą bezreligijnym, bezbożnym, religia nie obchodzi go nic, a on nad nią wyższy. Kto taki głupi, że jakąś mieć chce, niech ją sobie ma, zmądrzeje z czasem albo mu się jakoś to głupstwo z głowy wybije. U nas zupełnie szczery być on nie śmie. Wie, że gdyby odkrył tę swoją stronę przed rzemieślnikiem lub włościaninem, straciłby u niego wiarę, szacunek i wziętość. Tak więc jak tak zwany liberalizm lubi osłaniać się czasem katolickimi pozorami, żeby uspokoić sumienia jednych swoich zwolenników, a drugich pozyskać, tak samo i socjalizm (tylko w innych sferach ludności) udaje czasem pobożnego i do pobożnych uczuć trafić się stara. Ten katolicyzm pozorny a obłudny to jest przykra konieczność, której się złe dążności u nas poddają, żeby dobrych ludzi do siebie przyciągnąć i zagarnąć. Poddają się do czasu, obiecując sobie, że kiedyś da się maskę zrzucić, a z religijnym wyznaniem zrobić to, co w danych okolicznościach okaże się dogodniejsze. Społeczeństwo bez Boga, na samym człowieku i jego rozumie oparte, to ostateczny cel. Ksiądz Kajsiewicz mówi, że trzy były dotąd wielkie bunty przeciw Bogu i jego prawom. Mahomet i jego muzułmaństwo to był bunt zmysłów, ciała. Luter i protestantyzm – bunt rozumu. Teraz mamy trzeci i najgorszy – bunt woli. Czym jesteśmy, czym będziemy, co myślimy lub wierzymy, to wszystko jedno, byleśmy nie wierzyli w Boga, byleśmy Jego nie słuchali, nie chcemy Boga ani z Nim być. To jest treść i kres dzisiejszego przeciw chrześcijaństwu buntu.

Dalsze złe, zewnętrzne także w swoim początku, ale takie, które przez długie trwanie stało się krajowe, jest specyficznie austriackie. To zabytki, skutki i ślady tak zwanego józefinizmu. Bez otwartego, a przynajmniej bez krzyczącego gwałtu, bez prześladowania przetworzyć nieznacznie Kościół na instytucję pozornie tylko żywotną i samodzielną, w rzeczy państwu podległą i od niego zupełnie zależną. Działo się to istotnie tak nieznacznie, tak zręcznie, że Kościół sam, że duchowieństwo, niezaczepiane, nieprześladowane, przywykało do tego stanu rzeczy, uważało go za naturalny i nie czując swego upośledzenia, usypiało w błogim spokoju. Skutkiem było wielkie osłabienie powagi i władzy biskupów, nie tylko u ludzi świeckich, ale nawet u duchownych. Przebudzenie musiało przyjść, ale wtedy przyszła reakcja tu i ówdzie nad miarę. Duchowieństwo, przywrócone do żywszej świadomości siebie i miłości Kościoła, uczuło się zarazem upośledzone przez społeczeństwo świeckie, przez państwo, uczuło się niekiedy w jakimś do niego przeciwieństwie niedobrze zrozumiane. Na przykład, jeżeli, dajmy na to, duchowny jest pociągnięty do odpowiedzialności przez sądy świeckie (za świeckie sprawy), zdarzy się czasem słyszeć duchownych, którzy w tym podejrzewają zamach na Kościół i jego prawa, w uniewinnieniu takiego oskarżonego widzą nie zwykły wyrok sądowy, ale jakoby zwycięstwo Kościoła nad świeckim porządkiem rzeczy.

U ludzi świeckich znowu ta długa bierność i zależność Kościoła sprowadziła jego nieznajomość, jego niezrozumienie, jego zapomnienie. Zostawały kościoły i nabożeństwa, i obrzędy, i ich potrzeba nawet, ale świadomość katolickiej jedności i łączności, ale zrozumienie istoty Kościoła, ale znajomość i miłość tego żywego ciała, tego zgromadzenia wiernych, które pod jedną głową do jednego celu dąży, te zatarły się bardzo. Zatarły się nawet w rodzinach rdzennie polskich z krwi i kości – tym bardziej w tych licznych i dziś doskonale polskich, które od napływowych urzędników austriackich pochodząc, miały niejako we krwi niedostateczne, mylne pojęcie Kościoła i państwa. Złe to jest dziś mniej rozszerzone niż pół, a nawet ćwierć wieku temu, jego granice ścieśniają się szczęśliwie, ale są jeszcze dość przestronne na to, by je za zawadę w

naszym religijnym życiu słusznie można uważać.

Jest jedno jeszcze niebezpieczeństwo, zewnętrzne, bo nie z naszej krwi i natury pochodzi, ale i wewnętrzne, bo od wieków do nas przyrosłe. Jesteśmy tym na świecie krajem, który ma w sobie najwięcej ludności żydowskiej. W naszym wieku i państwie, gdzie różnica wyznania nie pociąga za sobą różnicy praw obywatelskich, ta część ludności rośnie widocznie w zamożność, we wpływ, w przewagę. Dopomaga jej do tego wrodzona wieloraka zdolność, zapobiegliwość i oszczędność. Ale w tym naszym wieku, którego jedną z cech jest wszechstronna walka z chrześcijaństwem, lud ten – niegdyś wybrany, a kiedyś do przebaczenia przeznaczony – z natury rzeczy, samą logiką i koniecznością swojej wiary musi do walki należeć i w niej wiele znaczyć. W całej Europie też widzi się żydów we wszystkich antychrześcijańskich pismach, stowarzyszeniach, działaniach. U nas, przez ich wielką liczbę, przez ciągłe i nieuniknione stosunki ze wszystkimi warstwami ludności, kwestia ta może być groźniejsza i trudniejsza niż gdzie indziej.

Jak ją rozwiązać? Może wskaże to i przyniesie czas. Dziś widzimy tylko i wiemy, jak rozwiązywać nie należy.

We Francji, w Niemczech, po części już nawet w Austrii ludność, przestraszona bogactwem i wzmagającym się wpływem żydów, zaczyna ich mieć w nienawiści. Rzecz ciekawa, te same kraje i społeczeństwa, które pierwsze uwierzyły i ogłosiły, że wyznanie, że pojęcie stosunku człowieka do Boga nie stanowi między ludźmi różnicy żadnej, te, które pierwsze wprowadziły w życie tę zasadę, że prawu i państwu nic do Pana Boga, a Jemu nic do nich, te same ledwo zniosły między żydem a chrześcijaninem różnicę opartą na wyznaniu, na wierze w Chrystusa Pana, uczuły żywo różnicę krwi i nienawiść żyda, jako człowieka innego plemienia. Ma to już nawet swoją utartą nazwę: słyszy i czyta się wszędzie o antysemityzmie.

Ten jest zasadniczo zły, a praktycznie niebezpieczny. Zły, bo niechrześcijański, niesprawiedliwy, niemiłosierny. Nie godzi się bliźniego nienawidzić za to, że go Bóg stworzył tym, czym go stworzył, a czym innym jak mnie. Niebezpieczny zaś w praktyce mógłby ten tak zwany antysemityzm być bardzo, bo nikt nigdy nie wie i nie przewidzi, gdzie się zatrzyma, dokąd dojdzie raz podżegnięta i rozkiełznana nienawiść jednej części ludności przeciw drugiej. U nas zwłaszcza, gdzie żyd, rozrzucony po całej przestrzeni ziemi, zmieszany jest z ludnością wiejską i jej nieraz ciężki, u nas to niebezpieczeństwo mogłoby być gorsze niż gdzie indziej. Niech nas Bóg broni od antysemityzmu.

A więc cóż mamy robić? Dać się zagarnąć, pochłonąć, materialnie wydziedziczyć, a moralnie i społecznie owładnąć? Jest to jedna z tych spraw, w których społeczeństwo samo sobie pomóc musi, samo tylko pomóc sobie może. Jakimi sposobami? Tymi samymi, uczciwymi, godziwymi, prawnymi, którymi już pomagać sobie zaczęło. Ograniczenie pijaństwa i lichwy wydało już widoczne, dotykalne dobre skutki. Chrześcijańskie sklepiki i spółki handlowe, choć tak młode, wydają je także. Jeżeli żyd zręczniej od nas i prędzej wyzyskał, nieraz na naszą szkodę, te ułatwienia, jakie znalazł w dzisiejszych prawach, to prawa te same przysługują i nam, drogi te same stoją i nam otworem. Zaczynamy na nie wchodzić przez sklepiki, przez spółki handlowe, przez stowarzyszenia przemysłowe i rękodzielnicze, na tej drodze, prawda, że powolnej, ale pewnej i prostej, leży ta równowaga środków pieniężnych, której nam brak, to zdobycie

przemysłu i handlu, któreśmy przed wiekami z rąk wypuścili.

Ale oprócz tego, co kiedyś zyskać można, jest to, czego dziś nie utracić, co dziś zabezpieczyć trzeba – przewaga moralna i ziemia. Jedna z drugą bardzo złączona. Tu jest obowiązek katolickiego i polskiego sumienia, tu jest grzech przeciw jednemu i drugiemu. Tym grzechem – dziś niestety częstym – jest oddawanie, sprzedawanie ziemi, a choćby tylko wypuszczanie jej dzierżawą, w ręce niechrześcijańskie. Kłopotu można się przez to zbyć, można nawet zrobić dobry interes. Ale jakim kosztem i co się przy tym dobrym interesie traci, a przynajmniej naraża? Samą podstawę religijnej i narodowej przyszłości narodu.

Mniej tu winien, choć i on także, włościanin, długami przyciśnięty, nieraz oszukany, niewiedzący, jak sobie radzić. Ale większy właściciel, ale szlachcic, z ojczyzną i swoim szlacheckim honorem na ustach, ten ma i grzech, i wstyd większy. Wiec katolicki i z katolickiego, i z polskiego sumienia i stanowiska to powiedzieć, to potępić musi.

Ubożsi mają jeden zwyczaj, potrzebą nieraz wytłumaczony, ale zły i niebezpieczny, przyjmowania służby w domach, gdzie dla ich religijnego wyznania i obyczaju nie tylko względu nie ma, ale często jest zły przykład i niebezpieczeństwo. Wszyscy, ubożsi i bogatsi, a znowu bogatszym wybaczyć to trudniej, mamy ten zły zwyczaj, że w kupnach naszych dajemy pierwszeństwo żydom nad katolikami. Wielką, a prawie niezwyciężoną pokusą bywa tu taniość, niższa cena, a na to już kupujący sam poradzić nie może, tu strona druga, chrześcijański kupiec lub rękodzielnik, musi mu przyjść z pomocą i tę różnicę ceny, dla kupującego często znaczną, zrobić mniejszą.

Wszystko to i godziwe, i możliwe, od nas zależne środki obrony. A obrona potrzebna jest bardzo, bo jeżeli jej sobie rychło i energicznie nie damy, może być z nami źle pod niejednym względem. Powie kto może, że to środki małe i nieprędko pomogą. A czy mamy skuteczniejsze i prędsze? Tak małe jak są już sprowadziły pewną zmianę na lepsze, stale użyte, rozpowszechnione, mogą sprowadzić ich więcej. Nie gardźmy małymi środkami, nieraz one duże skutki wydają, byle się nie lenić ich użyć. Żydzi sami mogą nam być przykładem: małymi środkami, z małych początków doszli do swego dzisiejszego bogactwa i znaczenia.

A teraz parę słów jeszcze – krótkich, bo czasu, a słuchaczom cierpliwości nie stanie – o tych niebezpieczeństwach wiary, które my nosimy sami w sobie, w naszych usposobieniach, charakterach, zwyczajach.

Że w ludzie wiejskim wiary czystej, niewzruszonej u nas najwięcej, to mówią zgodnie duchowni, pasterze i spowiednicy, zatem najlepsi świadkowie, to świadek świecki z obserwacji swojej wynosi i stwierdza. Czy i jemu niebezpieczeństwo nie grozi? Czy z rozszerzonym zakresem czytania nie będzie narażony na te same pokusy półmędrkowstwa, które my przebywaliśmy w XVIII i w naszym już wieku, a z których wielu nas dotąd jeszcze nie wyszło? Za to ręczyć nie można, owszem, można przypuszczać i obawiać się, że w niejednym umyśle utkwi i przyjmie się złe ziarno, padające z pozornie mądrych ust lub książek. Społeczeństwo, władze mają obowiązek i w znacznej mierze możność zapobiegania złemu przez szkołę, przez dobre wychowanie i dobry wybór wiejskich nauczycieli. Ludzie, którzy piszą, mają obowiązek dostarczania pism i książek katolickich, uczciwych, zdrowych. Ale to nie wystarczy i ta ludność

wiejska musi się strzec i zabezpieczyć sama. Jeżeli nie chce, żeby jej przyszłe pokolenia miały głowy przewrócone, a sumienia przewrotne, jeżeli chce, żeby zachowały Boga w sercu, Jego przykazania w życiu, a Jego pacierz na ustach, niech baczą pilnie na to, co czytają sami, na to, co synom i córkom czytać dają lub pozwalają. Niełatwe to, ale trzeba koniecznie rozpoznać i rozróżnić, co jest rzetelnie, a co obłudnie tylko katolickie i uczciwe.

U nas Polaków zresztą, co się najczęściej dostrzec daje – z żalem to – przy usposobieniu uczciwym woli i statku stosunkowo nie dosyć, a wskutek tego i w rzeczach religii uczucia raczej dużo, przekonania i zasad za mało. Żyjemy nieraz tak, jak żeby wiara nie obowiązywała nas do zachowywania kościelnych przepisów, do posłuszeństwa, jak żebyśmy na kształt protestantów sami byli sędziami tego, co nam wolno, a co nie.

Czy sobie jasno nie zdajemy sprawy z naszych pojęć, czy ich do jedności i zgody doprowadzić nie umiemy, dość, że nieraz godzimy w naszych umysłach i sercach uczucia i przekonania, które zgodzić się nie mogą, owszem, logicznie wyłączać się muszą. Jest zbyt często, niestety (i to nie u świeckich tylko, ale i u duchownych czasem), jakiś katolicyzm na dwóch stołkach, który Pana Boga chwali, ale i diabłu świeczkę świeci.

Z Matką Boską i Polski zbawienia nadzieją,
Gotowiśmy pozwolić, by zamiast papieża
Garibaldi był głową Nowego Przymierza.

Oprócz tej niejasności i chwiejności pojęć mamy w uczuciu miękkość, która za wiele pobłaża i przebacza, która na złe zamyka oczy i rękę mu podaje, z dobroci serca, jak mniema, z miłości bliźniego i dla miłej zgody, z gnuśności naprawdę, z obawy trudu i walki, która szczerość i śmiałość nieraz sprowadza, ale bez której zwycięstwa i prawdy nie ma nigdy, tylko udany spokój, udana zgoda, udana siła i życie. W charakterze zaś mamy brak odwagi; nie śmiemy się oprzeć, nie śmiemy powiedzieć: nie, nie śmiemy człowieka, który szkodzi, nazwać szkodliwym, dążności i nauki złej jawnie i głośno potępić. Jakie nam ten brak odwagi sprowadził szkody w życiu politycznym, to wiemy, w religijnym i kościelnym strzeżmy, by nie sprowadził podobnych.

Jakąś wrodzoną podejrzliwość względem władzy mamy w rzeczach duchownych także. Jeśli się zdarzy, dajmy na to, że biskup skarci kapłana, nasza opinia stanie instynktownie po stronie skarconego. On musiał mieć słuszność, bo biskup jest jego zwierzchnikiem, a zwierzchnik każdy niepewny i podejrzany. Smutne dziedzictwo po tych przodkach, co tak się bali królewskiego absolutum dominium, że aż przez *liberum veto* z królem i królestwo stracili.

A wreszcie bezczynność, pochopność i skorość do postanowienia, a wykonania brak. Wykonanie gorliwe w pierwszej chwili, jak dziewczyna z *Dziadów* zrazu wspomina swój zamiar co chwilę, co godzinę, a potem wspomina go co miesiąc, „a potem raz do roku około Wielkiej Nocy”. Natura to ludzka, zapewne, ale bardzo też i nasza. Wiele to myśli i postanowień dobrych, w naszym religijnym życiu także, powziętych, poczętych, a im dalej, tym bardziej opuszczonych, zaniedbanych, aż w końcu poszły w zapomnienie. Ta bierność, ta opieszałość, te grzechy opuszczenia, one w naszym dawnym życiu politycznym zrobiły nam nie mniej, może więcej złego, niż uczynkowe, a w religijnym (które się na narodowym odbiło i odbija) bodaj czy nie tak samo. Słusznie podobno pyta ks. Kalinka, czy każdy kościół, każda parafia w krajach

zabranych nie byłaby dziś fortecą nie wiary tylko, ale i polskości, gdybyśmy jej założyć nie byli zaniechali. A gdyby tych parafii było wiele, gdyby były gęste, czy te kraje dziś nie wyglądałyby inaczej, niż wyglądają... W bliższych nam czasach były takie myśli katolickie i doskonałe, żeby tylko Helcla Warownię krzyża wymienić, które poszły w niepamięć. Oby to zebranie w skutkach swoich okazało się płodniejsze, obyśmy nie zaniedbali wykonać, co postanowimy.

To by były niektóre skłonności czy zwyczaje złe katolików dobrych. Przełamywać i zwyciężać je trzeba, bo one są bezwiednym, często dobrodusznym, ale przecież rzeczywistym pomocnikiem nieprzyjaciela, a nieprzyjaciel i przebiegły, i silny, umie je zręcznie podchodzić i używać ich do swoich celów. A coraz on mocniejszy i groźniejszy. My po jednej stronie lepiej się czujemy i jednoczymy w katolickiej świadomości i czynności, to prawda, ale i on nie zasypia swojej sprawy, tylko następuje na nas z coraz większą mocą. Nie wtedy zaś najniebezpieczniejszy, kiedy idzie z podniesioną przyłbicą i otwarcie przeciwko Bogu i wierze bluźni. Słuchają go wprawdzie niektórzy i wtedy, słuchają liczniej i śmielej niż dawniej, ale dużo takich przecie nie ma, a poznać i osądzić go wtedy łatwiej. Gorzej jest, kiedy się zaczaja i nieznacznie skrada, bo wtedy może oszukać, a sposoby po temu ma różne.

Jednym mówi, że on Pana Boga i wiary nie tyka, tylko złych katolików, złych księży wykrywa i wytyka, i ludzi od nich broni. Ale to stara i znana sztuka. Zaczyna się od nagany – czasem i słusznej – księdza, a nieznacznie przechodzi się do tego, co ksiądz naucza, i podkopuje się wiarę. Tak zaczynał i tak działał wielki burzyciel kościoła Luter. Innych znowu, już mądrych, łapie się na słowo „postęp”, doprowadza się ich do mniemania, że wiara jest tylko głupich ludzi znamieniem, a oni głupimi wydawać się nie chcą, i przez dopiero prawdziwie głupi fałszywy wstyd duszą w sobie wiarę prawie gwałtem, a od Kościoła odstają. Do innych znowu przemawia się pięknym językiem miłości ojczyzny i za dobre uczucie schwyciwszy, doprowadza się ich do zdań i czynów błędnych. Niedowiarstwo, nienawiść Kościoła lubi czasem przybierać pozór szlachetnej, a nawet pobożnej miłości ojczyzny, nie modli się, ale drugich nawet do modlitwy zachęca. Tylko tej modlitwy używa za środek do świeckich, do politycznych celów. A tymczasem w przykazaniach stoi jasno jak słońce, zaraz na drugim miejscu: „Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno”. Bierze je nadaremno, przestępuje to przykazanie, kto się modli nie na to tylko, żeby Boga chwalił lub prosił, ale na to, żeby ludziom coś pokazać, żeby, jak się mówiło przed laty trzydziestu, demonstrować. Kto wie, czy dzisiejsze prześladowanie i niebezpieczeństwo Kościoła nie jest dla nas karą, żeśmy modlitwy nadużywali i brali Imię Pańskie nadaremno.

Dziś i socjalizm daje sobie czasem obłudnie pobożne i katolickie pozory, z nadzieją, że nas nimi złudzi. On pobożny, on chce tylko rzetelnego, ścisłego wykonania praw Bożych, on się Ewangelii wiernie trzyma i niby w imię miłości bliźniego działa. Ale odpowiedzieć mu łatwo, że miłość ani Ewangelia nie działa nienawiścią ani jej nie szerzy, a kto to robi, tego i miłość jest nieprawdą, i wiara udaniem.

A w końcu co nam jeszcze katolikom szkodzi i grozi? To, co także Skarga wymienia jako jedno z niebezpieczeństw ojczyzny: "Widzieć rozerwanie wielkie serc ludzkich, powaśnienie stanów między sobą, wiele nieuprzejmości, dla których jeden drugiemu nie dufa, nie życzy, jeden drugiego hydzi [...]".

Czy słusznie jest i właściwie mówić o naszych słabościach i ułomnościach, zwłaszcza w tej chwili, kiedyśmy się po raz pierwszy zeszli na to, by się policzyć, poznać i porozumieć? Może lepiej byłoby powiedzieć, że nie tylko katolikami jesteśmy, ale pod niektórymi względami lepszymi niż byliśmy dawniej, żeśmy w statecznej wierności i gorliwości postąpili cokolwiek, i na tym poprzestać? Przyjemniej byłoby to może, lepiej. Nie. Nie o to chodzi, żeby się chwalić, choćby słusznie, ale o to, żeby się dobrze znać i wychodzić wyżej. Nikt zaś nie może pójść dalej, pójść wyżej, jeżeli nie rozpozna dobrze gdzie jest, w jakim jest stanie i czego się pozbyć, czego nabyć musi, żeby mógł zajść daleko i wysoko. A my z głębokiego upadku dźwigać się mamy i droga przed nami długa i trudna.

Czy te trzy dni wiecu będą na niej krokiem znacznym naprzód? Da Bóg, że tak. Na tę drogę rzucił on światła wiele, a wędrowcom miał z czego dodać otuchy i ufności. Wiele się pytań w naszych obradach objęło, i roztropnie. Krasiński mówi, że to jest przyszłość, to cel, aby Pan był wyznany i pochwalony wszędzie, i w kole wyborców, i w kole wybranych, i w trybunale, i na stolicy władnej, i na rynku pospolitym, i na giełdzie, i w rękodzielni, i w sztuce każdej, i w umiejętności każdej.

Tym różnym kierunkom i stosunkom życia społecznego odpowiadały różne sekcje tego wiecu, a wszystkie w tym duchu i celu, żeby życie społeczne było życiem katolickim. Teraz potrzeba dalszego ciągu, zastosowania, wykonania, trzeba, żeby dobra chęć ustaliła się w dobrą, ale mocną wolę. *Velleitas* w rzeczach religijnych, jak w innych, dzieciom chyba przystoi, człowieka prawdziwego i społeczeństwa tęgiego istotą i cechą jest *voluntas*. Tę stałość i tęgość ma Kościół na myśli, o nią prosić nam każe, kiedy się modli, iżby Bóg czynności nasze natchnieniem swoim uprzedzał, ale ciągłą swoją pomocą im towarzyszył. *Adiuvando prosequere* to znaczy iść za nimi w ślad, nie odstępować ich. Da Bóg, że po tym pierwszym kroku pójdziemy dalej, a ta pomoc będzie miała w czym i po co nas wspierać i nam towarzyszyć, „iżby wszystkie nasze prośby i prace od Boga się poczynały, a z Niego poczęte, w Nim się kończyły”.

A jak od Skargi rozpocząłem, tak niech mi wolno będzie skończyć słowami drugiego po nim wielkiego kaznodziei Kajsiewicza:

„Niechże już raz na pobojowisku dymy gęste niedowiarstwa i zepsucia, rozpaczy i hardości opadną, niech się Babilon od Jeruzalem rozdzieli, niech sprawa święta, święcie pojęta i broniona będzie. Niech Chrystus, wódz nasz, niewidzialny na niebie, i Namiestnik Jego, widomy na ziemi, niech ujrzą, na kogo wśród nas liczyć można. Niech ujrzą Polaków z przyłbicą żywej wiary na czole, z tarczą mocnej ufności i nadziei na piersiach, z ogniem miłości w sercu, z mieczem prawdy w dłoni, z pobożnym śpiewem na ustach, z krzyżem podniesionym za chorągiew, z hasłem: <Kto jak Chrystus? Kto jak Kościół?>. A co nam się zdaje za późno, przyjdzie w sam czas. W sam czas głos wiekuisty z Syjonu zabrzmi piorunowym echem na wieki i narody. A Pan, jakoby śpiący dzisiaj, podniesie się na tronie swoim i uderzy w grzbiet nieprzyjacioły swoje. Śród uczty zwycięstwa i spijania z naczyń świętych wyjdą głoski tajemnicze na ścianę, a moc Babilonu rozleje się jak woda i upadnie. I wstydzić się będzie swego złego imienia dla narodów, które chwiać nad nim głowami będą, i dziwić się, i szukać go na próżno w miejscu jego. A wygnanie zniknie jak lody na rzekach, jak śniegi na górach pod powianiem wiatru południowego. Chwalić będą Boga wyzwoleni i wysławiać będą Ojca, który

uderza i pieści, rani i leczy dzieci swoje, przyprowadza do bram śmierci i życie powraca, a wszystko w czasie swoim”.